

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (36)

(fragmenty)



Właściwie jest bardziej tragikiem niż satyrykiem. Gdy opowiada o sobie, wręcz opuszcza go wielkoduszny humor. Może dlatego, że jako pisarz i rysownik wyczulony na śmieszności i słabostki innych – staje się do przesady ostrożny modelując własne zachowanie, żeby przypadkiem samemu nie okazać się w oczach innych komicznym, co w efekcie kępuje i paraliżuje jego spontaniczność.

Mroźek maszerujący ulicami Krakowa to wręcz chodząca (na szczydłach) powaga, zero spontaniczności, każdy krok, gest, ruch ciała wstudiowany do przesady.

Potrafi zaskoczyć, gdy pisze o sobie: „Całe moje życie utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem gnojkiem”. To już wielki Mroźek, bo kogóż przeciętnego stać na taką samokrytykę!?

Pamiętam, że gdy po raz pierwszy po wymianie wielu listów spotkaliśmy się w Paryżu w 1977 (była to moja pierwsza podróż na Zachód), zastanowiła mnie jego ironiczna reakcja, gdy powiedziałem mu o kimś, że jako przyjaciółka mojej przyjaciółki powinna mi pomóc w załatwieniu czegoś (nie pamiętam już czego).

„Przyjaciółka twojej przyjaciółki... więc powinna ci pomóc?”. Nie, to nie mieściło mu się w głowie, jakby nie rozumiał tego, co w moim przekonaniu było oczywiste i elementarne...

W sferze uczuć wydawał się zawsze z innej planety. W ogóle – najtrudniejszy rozmówca świata, co mogłem stwierdzić na własnej skórze, gdy po wymianie długich listów spotkaliśmy się na paryskim, a w parę lat później na krakowskim rynku.

Niesłychanie surowy wobec własnej osoby, własnego pisarstwa – co zaświadcza każdą stronką dziennika, jest też wymagający wobec najbliższego otoczenia, dlatego bardzo ostrożnie i z trudem dobiera sobie przyjaciół (chodzi o mężczyzn, bo kobiety fascynują go swoją odmiernością, o czym dyskretnie tu i tam sygnalizuje).

Temat kobiet unikany raczej przez Mroźka (wyjątek – paręnaście znakomitych stron

poświęconych śmierci pierwszej żony Marii Obremby) zasługują na osobne omówienie właśnie dlatego, że tak skąpo dozwolany.

W 1978 pisał mi w liście: „Wyjść z siebie, spojrzeć na siebie z zewnątrz (piszesz o tej potrzebie). No tak. Ale przypominam ci Twój wiersz o sobie, swoim najlepszym przyjacielu. Wyjść, owszem, ale tylko pod warunkiem, żeby zachować podwójność widzenia. Wyjść, ale jednocześnie siedzieć w środku. Porównać to, co się czuje w środku, z tym, co się widziało na zewnątrz. Zjeść jajecznicę, ale nie rozbić jajka. Bo opuścić siebie naprawdę, to przecież nic innego, jak własna śmierć.

Poza tym: z zewnątrz widać każdego z nas jako zamkniętą, obrysowaną całość. Czy to widzenie prawdziwe? Podczas gdy my odczuwamy siebie, od środka, jako coś bez wyraźnych granic i konturów. Czy to widzenie prawdziwe?

Może ta tęsknota, żeby wyjść z siebie i zobaczyć siebie, z zewnątrz, a jednocześnie nie tracić siebie w środku siebie, to tęsknota za jedynym pełnym, prawdziwym widzeniem”.

Gdy czyta się dziennik Mroźka, odczuwa się ten dylemat, bliski zresztą innym autorom dzienników, także mnie, jaką chytrą sztukę zastosować, żeby „zjeść jajecznicę, ale nie rozbić jajka”, czyli opisać siebie od wewnątrz – ale z zewnątrz, obiektywnie; wyjść z siebie i obserwować z wysoka, z daleka, a jednocześnie pozostawać cały czas w środku.

„Dziennik” Mroźka jest więc również przykładem tej swoistej schizofrenii pisarskiej. Autor zaserwował nam jajecznicę z „jaizmu” przyrządzoną według specyficznie własnej literackiej receptury. Jednych czytelników może rozczarował, że za mało osobisty, a za bardzo uniwersalny, czyli opisujący siebie z zewnątrz, z wysoka. Innych może zachwycił ową umiejętnością uogólniania i uniwersalizowania wszystkiego, co napotykał w latach 1962–1969. Po czym, jak to on – statecznym krokiem, lekko przygarbiony i jednak wciąż pocelwony nierozbitą twardą tajemniczą skorupą – udał się po paru dniach na lotnisko w Balicach, by odlecieć na powrót do Nicei...

Tomek Sobieraj, rak i Tiziano Terzani

Poznałem, na razie elektronicznie, Tomka Sobieraja (lat 46), zdolnego krytyka, interesującego pisarza z Łodzi, który udał się parę miesięcy temu na kolonoskopię, po czym dowiedział się, że ma raka jelita. Ponieważ przechodziłem to samo osiem lat temu, moje wiersze i zapiski dziennikowe były dla niego liną ratunkową – zanim sam sobie nie upłócił własnej, więc zaprzyjaźniliśmy się.

Teraz Tomek przechodzi chemioterapię, mocniejszą niż ja, ale imponuje mi walecznością i wiarą w ostateczny sukces. Ba, to teraz on podtrzymuje mnie na duchu, gdy od ponad miesiąca dokucza mi żołądek i tak zwany zespół jelita drażliwego, co nie tylko jest męczące, ale wpędza mnie w panikę, że to znowu nawrót tamtego. W chwilach pogrążającej mnie i świat za oknem szarżyny jesiennej czytam książki niespożytego Tiziano Terzaniego, wybitnego włoskiego reportażysty

którego przez wiele lat ciekawość gnała przez wszystkie kontynenty, a w ostatnim okresie zachorował na raka, przeszedł wszystkie stopnie wtajemniczenia w tę chorobę, leczył się tradycyjnymi i alternatywnymi metodami (w Ameryce, Indiach, Tajlandii), po czym złożył literackie sprawozdanie z tego traumatycznego i tragicznego doświadczenia (bo jednak po siedmiu latach zmarł) w dwu opasłych, liczących po 700 stron księgach: „Koniec jest moim początkiem” (Zysk i S-ka) i „Nic nie zdarza się przypadkiem” (Świat Książki). Przykład niezwykłego hartu ducha, żeby wisieć na szubienicy i opisywać to.

Nie było na to stać na przykład filozofa księdza Józefa Tischnera. Chyba, że uważał, iż śmierć to nic wielkiego w obliczu chrześcijańskiej wizji nieśmiertelności, więc nie warto jej poświęcać za wiele uwagi.

Terzani, którego bardzo cenił nasz Kapuściński, to jeden z najmądrzejszych facetów, z jakimi zetknąłem się poprzez druk. Pisze prosto, jasno o skomplikowanych sprawach, ma ogromną reporterską wiedzę o ludziach i świecie, własną wizję świata. W odróżnieniu od większości europejskich myślicieli zanurzonych po głowę w kulturze i myśli europejskiej – poznał filozofię, wierzenia i życie praktyczne Dalekiego Wschodu i potrafi skonfrontować różne światy, różne postawy i poglądy. Ma krytyczny stosunek do współczesnej cywilizacji, co udaje mu się nieraz cennie wyrazić: Wschód i Zachód. Kiedyś bardziej niż o różnej tożsamości geograficznej – można było mówić o dwu różnych wizjach świata. Pierwsza opierała się na eksploracji świata wewnętrznego, z niewielką albo żadną dbałością o zewnętrzny, druga w całości nastawiła się na dominację świata na zewnątrz, całkowicie ignorując ten w środku. Od końca XIX wieku nadzieją wielu ludzi Zachodu była możliwość uzupełniania jednej wizji drugą, ocalając obie z nich i pozwalając tym samym całej rasie ludzkiej na poważny skok jakościowy. Żłudna nadzieja. Materialna siła wizji zachodniej pokonała wizję wschodnią i Azja, której zawdzięczamy bogów i idee, straciła spokój, goniąc za takim samym typem szczęścia, które nas już unieszczęśliwiło”.

Od siebie mogę dodać, że widziałem taką Azję całkowicie zmaterializowaną w Singapurze, gdzie ma się wrażenie, że człowiek znalazł się w środku społeczeństwa termitów-robotów prawie całkowicie wyzbytych wyższych potrzeb duchowych czy kulturalnych.

Terzani wie, że probierzem postępu cywilizacyjnego powinno być szczęście ludzi. Tymczasem są oni mniej szczęśliwi nawet od pierwotnych ludów: „choroba, na którą cierpi teraz duża część ludzkości, jest nieuchwytna, nieokreślona. Wszyscy czują się mniej lub bardziej wykorzystywani, smutni, przegnębieni, ale nie mają obiektu, na którym mogliby wyładować złość albo ku któremu zwrócić nadzieję (...). Gdzie znajduje się ośrodek władzy, który zuboża życie? (...) Być może ośrodek ten znajduje się w nas samych i tylko wielka wewnętrzna rewolucja może zmienić ten stan rzeczy, zważywszy, że wszystkie rewolucje zewnętrzne zdziały niewiele”.

cdn.